Rozmaitości

Dnia 31. Sierpnia **Nr 35.** 1839 Roku.

ZALOTNIK MARCOWY.

Z rodzinnego podania.

I.

»Jako wasze, panie Michale, w tym wieku chceta się żenić? nie pomnicie, że kiedy stary z młodą się żeni, tedy jakoby w stary wóz szalone konie założył. Trudna zgoda, z ogniem woda! Młoda zawsze ma prawdę, — w niczém dla ciebie reju nie będzie; — boć szafranu nie przetrzesz, a baby nie przeprzesz; — wtedy biéda temu domowi, gdzie krowa dobodzie wołowi, bo zawsze tam wierci mak błądzi, gdzie donica rządzi. Hm, wasze, panie Michale, patrzyta na mię złém okiem, by na Tatara w jasyrze; wierzyta jedwabnym słówkom krasnéj dziewki, aléć to od dawna nie napróżno powiedziano: »Co ci powie białogłowa, pisz na bystréj wodzie słowa;« świętéj pamięci rodzic mi jeszcze mawiał: »Ani na wsi, ani w mieście, nie trzeba wierzyć niewieście.« Na taką przecież *perorę* pana Malchera, stryjecznego brata, pan Michał milczał uporczywie, pokręcając szpakowatego wąsa, co tém więcéj mowcę jątrzyło i zapalało. »Tfu! na marę!« zawołał pan Malcher, chodząc szérokim krokiem po komnacie, i pociągając w gniewie coraz pasa: »Milczysz jak zaklęty, boć poczuwasz się do złego! Tobie w tym wieku brać w dom dziewkę, a przecież choć ma włosy długie, ale rozum krótki. Kto chce się żenić, powinien mieć naturę twardą, a dobrze z początku żoneczkę karcić, aby znała, co pan w chałupie. Dobre były czasy one, po których zostały przysłowia:

Orzech, sztokfisz, niewiasta, jednym kształtem żyją,
Nic dobrego nie czynią, kiedy ich nie biją.

Kto pije, ten tyje; kto miłuje, bywa zdrów; kto bije żonę, będzie zbawion.

Pan Michał, jakoby nie słyszał mowy brata, powstał z wolna i przeszedł do jadalni, gdzie zwykle z przyjacielem domu, jako zwano *rezydentem*, o tę porę grywał w tryszaka. Malcher splunął, pogłaskał w górę czuprynę, schował obie ręce za pas, co zawsze było oznaką gniewu i poszedł w milczeniu za nim, a zastawszy brata z panem Jaksą, rezydentem, zajętych tryszakiem — pomruknąwszy na wpół głośno:

»Kto miłuje rzewnie,
To szaleje pewnie;
Kto się kocha powoli,
Tego głowa nie boli.«

Usiadł w kącie jadalni, wysunął małą szachownicę i przywołał starego rotmistrza z chorągwi hussarskiéj, zawolanego gracza w szachy. Kiedy się grą zajęli, wpadł zadyszany pachołek, donosząc, że pani czesnikowa z panną i całą rodziną już jest przy granicznym kopcu.

Pan Michał jak piorunem rażony na taką niespodziankę, co rychléj schował wielką papiérową tabakierę, kazał podać sobie żupan świeżéj mody; Jaksa pomagał mu w przebraniu. Pan Melchior cały stanął w czerwieni, jak kogut do boju, rozdraźniony przybyciem nagłém niewiast, a co więcéj go rozgniewało, że od nieskończonéj partyi szachów uciekł i stary rotmistrz, dla poprawienia ubioru i poczernienia sumiastych wąsów. Cała służba pana Michała wystrojona, oczekiwała przed gankiem na przybycie wielmożnych gości. Jaksa ich porządkował, i jako mówił, ustawiał w *ordynek*. Rotmistrz z uczernionym wąsem i ogromnemi ostrogami stał na czele, aby podawać

damom rękę; pan Michał na progu sieni, wzruszony nie mało, oczekiwał swojéj przyszłéj — a Malcher, ten nie wyszedł ani do sieni, ani na ganek, ale w złości poprawiał przed zwierciadłem pasa i przy pomocy śliny ustawiał na głowie czub szwedzki.

Na zégarze ściennym właśnie wykukała kukawka jedenastą godzinę w poraniu, gdy karéta spaniała pani cześnikowéj stanęła przed gankiem. Jaksa z rotmistrzem wysadzili naprzód panią cześnikową, potém pannę Ewelinę, jéj córkę, a narzeczoną pana Michała, potém pannę Matyldę, starą ciotkę, potém pannę Annę, starą pokojówkę, potém dwie służące, potém dwa szpice, potém opasłego i śpiącego mopka murzyna, potém ciotki papugę w jednéj klatce, a parę kanarków w drugiéj, potém pudła, pudełka, pudełeczka, szkatuły, puzderka, worki i woreczki, co blizko godziny zabrało całéj służbie dworskiéj, za nim je poznosili. Pan Michał, ucałowawszy rękę cześnikowéj i narzeczonéj, powiódł matkę naprzód, a Malcher, udobruchawszy się wiele, okazał się nagle w sieni i przeprowadził Ewelinę.

»Mój drugi stolniku!« rzekła cześnikowa do pana Michała, »chcieliśmy ci zrobić miłą niespodziankę, otóż jesteśmy, by razem zjeść gąskę na Ś. Marcina, bo to dziś tego patrona.«

»Miła mi asindzki!« odrzekł pan Michał z ukłonem, »każda łaska, a z czémże radość porównać, gdy raczyłaś pamiętać, iż w dniu dzisiejszym jestem pozbawiony gospodyni, która tak sławnie wróżyć umie o ciekawéj dla każdego rolnika zimie!«

II.

Godzina obiadowa nadeszła nie długo; na piérwszém miejscu posadzono panią cześnikowę i Ewelinę, obok siedział pan Michał z jednéj, a panna Matylda z drugiéj strony, przy niéj Malcher, już weselszy miodem i akwawitą śniadanną, daléj rotmistrz i Jaksa zamykali poczet.

Po wielu potrawach, w których staroświecki kucharz nie żałował szafranu i *bakalij*, ukazała się gęś potężna, już rozebrana na części, wyjąwszy nietkniętych piersi; te położono na talérzu przed panią cześnikową, która zręcznie mięso zjadłszy, zostawiła w prędce kość nagą. Wtedy, za danym znakiem przez pana domu, podał hajduk puhar kryształowy, kwartę obejmujący, który koleją piérwszą wychylili wszyscy za zdrowie dam obecnych. Cześnikowa w delikatne palce pełne pierścieni, o które zbił sobie zęby rotmistrz całując serdecznie, ujęła kość piersiową, i zbliżyła się wolnym krokiem do okna ogrodowego, obejrzała ją troskliwie, a ukazując przytomnym, taką wydała wróżbę blizkiéj zimy: »Widzicie państwo z początku te białe plamy, śród więcéj ciemnych, to znaczy, iż po troszku będzie śniegu, ale więcéj dészczu — taka niepewna zima będzie do połowy, bo do połowy kości wszędy są plamy czarne, ale za to druga połowa zimy będzie mroźna i śnieżna, bo spojrzyjcie państwo, reszta piersi bez plamki!«

»Taką rzeczą, mościwa pani wielmożna cześnikowa,« zawołał podochocony Malcher, z puharem w ręku, »będziesz z nas miała częstych gości kulikiem po dobrym śniegu.«

»Owóż!« rzekł pan Michał, »piérwsza wróżba asindzki, uiszcza się teraz, śnieg pruszyć zaczyna.«

»Aha!« wyrzekli razem rotmistrz i Jaksa, »S. Marcin jedzie do nas na białym koniu.«

»Swięty Marcin po lodzie, Boże Narodzenie po wodzie! taka u nas dawna przypowieść — i nie wiém, czy na gody zadzwoniém sankami u wielmożnéj cześnikowéj,« to mówiąc skłonił się nizko pan Malcher.

»Choćby i na kołach bosych,« odrzekła »miłe mi waszmość panów odwidziny zawsze — proszę nie zapomnieć o tém, bo pod sianem na wigilią możecie znaleźć wróżbę szczęśliwą dla siebie.«

Kiedy mile czas schodził, przy zmroku poczęła się do domu cześnikowa wybiérać, przystojność bowiem sama nie dozwalała w domu narzeczonego jéj córki zanocować. Zaszła więc karéta, wsadzono naprzód, albo raczéj wniesiono cześnikowę do pojazdu, i jéj córkę i starą pannę ciotkę, i starą pokojówkę, i dwie służące, doładowano reszty dwoma szpicami, murzynem mopkiem, papugą i kanarkami.

Rotmistrz, aby ujął sobie pana Michała, konno wsiadłszy na dzielnego arabczyka, zobowiązał się przeprowadzić damy; a pan Jaksa więcéj uradował narzeczonego, bo dwóch pachołków wsadził na konie z zapalonymi pochodniami i sam im przewodniczył. Psy siedzące w karecie na blask jasny

poczęły przeraźliwie szczekać, papuga klą-skać i świstać; cześnikowa w uniesieniu radości chustką z bramy powiała — gdy Malcher z pełnym kielichem nócił pieśń pożegnania:

»A kiedy odjeżdżasz — żal w sercu zostawiasz!«

III.

Zbliżył się czas gód czyli Bożego Narodzenia. Pan Michał i Melchior wystrojeni, wraz z rezydentami swemi, rotmistrzem i Jaksą, wybiérali się na wigilią do pani cześnikowéj. Tą razą wróżba omyliła, i Święty Marcin był po lodzie i Boże Narodzenie po lodzie i śniegu. Wyciągnięto przepyszne sanie, pudło wyobrażało okręt, z przodu biały łabędź misternéj roboty roztaczał białe skrzydła, i wyciągał długą pozłacaną szyję, obok dwóch murzynów w czerwonych czapkach ukazywało zęby białe. Zaprzężono cztéry białe konie — maść ulubiona rotmistrza, który zawsze mawiał: »Kto nie siedział na białym, ten nie jeździł na dobrym koniu;« — przystrojone były w krakowskie chomąta, pełne dzwonków. Zasiadł wąsaty woźnica w wilczurze sutéj, dwóch pachołków stanęło z tyłu, i tak ruszono żwawo.

Już gwiazdka piérwsza ukazała się na niebie, kiedy nasi zajechali goście. Przyjął ich na ganku pan chorąży, brat cześnikowéj i wprowadził do komnaty. Znaleźli stół długi zastawiony, sianem nakryty, w każdym kącie izby stały snopy zboża, świécznik ogromny pełen świéc jarzących oświécał widnie. Pani cześnikowa uprzejmie przyjęła oczekiwanych gości, oświadczając, że wigilia gotowa, bo gwiazdka już przyświéca. Pan Michał, posadzony obok narzeczonéj, rozpływał się w radości; Malcher marszczył czoło, ale mars rozjaśnił się wkrótce przy rzęsistych puharach; wznosił on zdrowia liczne, proszony o to od gospodyni domu, a gdy właśnie dwunaste wznosił z kolei: »Kochajmy się!« zabrzmiała kapela, rozwarły się drzwi i ukazało się grono licznych gości, i niewiast strojnych. Wiedziała o tych odwidzinach cześnikowa, ale chciała ucieszyć niemi przyszłego zięcia.

»W to mi graj!« zawołał wesoły Malcher, »a teraz rzniéj od ucha kapela, pijem zdrowie szanownéj i mnie wielce miłościwéj pani cześnikowéj na kolanach!« To wyrzekłszy ukląkł, wszyscy mężczyźni za jego przykładem, otoczyli wieńcem matronę, i chórem śpiéwali dawną piosnkę:

»Nie masz to, nie masz, jako nasza gospodyni!«

Rozrzewniona tym afektem, skinęła na chorążego brata, roztwarły się drzwi i na małym wózku, ciągnionym przez dwóch karłów, okazał się antał starego węgrzyna, pamiątka po nieboszczyku jéj mężu. Ujrzawszy to podpiły Malcher, wziął na stronę pana Michała i szepnął mu do ucha: »Panie bracie! już teraz nic nie rzeknę, żeń się waszeć, to święta białogłowa — a snadź i dom zamożny.«

»Nie tu koniec, moi mili sąsiedzi!« rzekła pani cześnikowa, »każdy przy swym talérzu w sianie wróżbę znaleźć powinien; trzeba poszukać.« Posłuszni sięgnęli ręką, pan Michał znalazł dziécię w powijaku, panna Ewelina czepiec, Malcher pannę z cukru, razem z Jaksą i rotmistrzem, a stara ciotka kołyskę z bliźniętami.

IV.

We dworze pana Michała już przez całą zimę trwały przygotowania. Święty Jan był oznaczony na dzień ślubu; mało doma zagrzali i rotmistrz i Jaksa, bo jeździli za sprawunkami; Malcher sam teraz doglądał gospodarki, gdy brat jego stracił głowę i zajmował się wyłącznie przygotowaniem do ślubu. Im więcéj przecież zbliżał się do celu życzeń swoich, więcéj rozmyślał — przypominał sobie, że już w lata zaszedł, do wielu rzeczy się nazwyczaił, od czego trudno odwyknąć, a panna Ewelina nie znosi; naprzykład nie pozwalała mu, jak dwa razy zażyć tabaki przez dobę. On nawykł jeździć brodzką bryką bez resorów, panna mu przypominała karétę i pojazdy nowe. Zaczęła przebąkiwać, że rezydentów nie ścierpi, trzeba więc będzie pożegnać rotmistrza i Jaksę, przyjaciół prawdziwych, z których każdy życie by zań oddał. Krzywiła się na Malchera i doradzała, aby mu gdzie uboczną wieś puścił. Pani zaś cześnikowa chce mieszkać przy córce — razem z starą ciotką, z starą pokojówką, papugą, szpicami i mopkiem. To wszystko niepokoiło pana Michała we śnie nie raz, wspomnienia takie drészczu go nabawiały; tak straszne widzenia uspakajał modlitwą i usypiał spokojniéj, zdając się na Opatrzność.

Malcher milczał, pracował szczérze, zastępując wszystkich; dostrzegł zmiany brata, i rzekł raz pod wieczór, gdy sami byli: »Miły panie bracie! coś wam wadzi — osowiały, zasępiony codzień więcéj, czyśta niezdrowi?«

»Zdrowia nie braknie, miły Melchiorku, ale trosków więcéj przy starszych latach.«

»Kto się ożeni, to się odmieni! tak mówią, ale wasze jeszcze się nie ożenił, a już odmienił.«

»Nie wiém ki to kat, ale im więcéj bliżéj ołtarza, tém więcéj rośnie w sercu obawy. Wszystko odmienić się tu musi, a mnieć tak miło i dobrze, jako jest teraz.«

»Miarkuję, co chcesz wasze wyrzec — musimy się rozdzielić, prawda, że jak dla mnie to bardzo przykro,« mówił wzruszony Malcher; »od czasu jak na drewnianych hasalim konikach, zawsze razem, wyjąwszy, gdy raz trzeba było tym psom Tatarom ogonić się i odpędzić od zagonów i kopców swoich — drugi raz, gdy wasze niemocą złożony leżał w Wieliczce, a teraz...« Nie mógł skończyć i łzy spłynęły mu po licach. Zapłakał rzewnie pan Michał, rzucił się w objęcia brata, i długo płaczu utulić nie mógł.

V.

Nadszedł dzień ślubu. Z smutném obliczem zajechał Melchior przed dwór cześnikowéj, oznajmiając prędkie przybycie pana Michała. Panna Ewelina zapytała go dumnie, czy karéta będzie do ślubu. Melchior duże zrobił oczy, oświadczając, że pan brat o tém dotąd nie pomyślał.

»Jakto?« krzyknęła z gniewem pani cześnikowa, »a o ślubie pomyślał?«

»Nic nie wiém, mościwa pani, ale owoż i sam przybył, najlepiéj to wyjaśnić potrafi.«

Jakoż w brodzkiéj bryce zajechał pan Michał z równianką kwiatów przy boku, towarzyszył mu konno rotmistrz na dzielnym turczynie. Ledwie próg przestąpił, miasto przywitania, matka i córka jednozgodnie wykrzyknęły: »Cóżto, brodzką bryką do ślubu?«

Pan Michał, dotąd potulny baranek, podniósł dumnie głowę i rzekł poważnie: »Widzę, iż nie moja osoba, ale dostatek ma tu znaczenie i powagę, a wziąwszy to smutne przekonanie, nie pozostaje mi nic więcéj, jak zostać powolnym sługą i dobrym jeno sąsiadem mnie wielce miłościwym damom.«

Osłupiał Melchior na te słowa brata — i tém więcéj zdziwion, gdy ten z ukłonem wyszedł na ganek, kazał zajechać bryce brodzkiéj, wsiadł w nią i odjechał. — Rotmistrz został na podwórzu. — Zbladła cześnikowa, zczerwieniała panna Ewelina, Melchior w milczeniu pokręcił wąsy; zgromadzeni licznie goście z podziwieniem oczekiwali końca. W tém wszedł pachołek pana Michała i wręczył list Melchiorowi. Przeczytał go — uśmiechał się radośnie i wlepił oczy na podwórze.

Nie długo zagrzmiał dziedziniec, cztéry kasztanki, przepysznie strojne z karetą, jakiéj w okolicy nie widziano, stanęło przed gankiem. »Czyjeżto, czyjeż?« zapytali wszyscy.

Melchior skłonił głowę i rzekł: »Karéta i konie przeznaczone do ślubu były, chciał tém swoję ucieszyć narzeczoną; aby od razu nie pokazać, i jam nie wiedział nic o karécie; zawiozą one raz piérwszy i ostatni jego brata, co go kocha sercem, chociaż zawsze w brodzkiéj bryce jeździ.« Wyszedł, wsiadł do karéty — i zniknął.

Pan Michał z radością w miejscu żony uścisnął brata, rotmistrza i Jaksę. Spoźnił się dnia tego obiad o parę godzin, ale jak zwykle jedli go razem; po czém Malcher grał z rotmistrzem partyją szachów, a brat z Jaksą w tryszaka. »Patrzcie!« mówił uweselony pan Michał, »zostanie wszystko, jak było — nic się nie odmieni — będziemy razem do grobowéj deski!«

»Dzięki Bogu!« odrzekł Melchior, »alec ja prawdę mówiłem, że u b i a ł y c h g ł ó w d ł u g i e w ł o s y, a l e r o z u m k r ó t k i. Miłoć mi, że mój pan brat w piérwszym zawodzie nie uległ niewieście, bo za prawdę dobrze mawiano i dawniéj: Z k o n i e m n i e i g r a j, n i e w i e ś c i e n i e u l e g a j, p i e n i ą d z e s a m c h o w a j, c h c e s z l i b y ć b e z s z k o d y! A potém, czyż nam tak źle, tylem lat przeżyli społem w zgodzie i jedności; niechby tu niewiasta zasiadła, nigdybyś jéj pan brat nie dogodził, jako w onéj staréj przypowieści: D w a r a z y ż o n a m ę ż a b i ł a — r a z, ż e o g ó r k i ł u p i ł, d r u g i r a z, ż e j a b ł e k n i e ł u p i ł!«

K. Wł. Wojcicki.

(Z Poznań. Tygodnika Liter.)

BAJADERKI W WIÉDNIU.

Kiedy bajaderki, zwidziwszy różne stołeczne miasta Europy, pod ten raz w Wiédniu bawią, sądzimy przeto, iż nie od rzeczy będzie wytknąć stanowisko, z którego się na ich taniec zapatrywać, i o nim sądzić należy. Publiczność dotychczas rozmaite o nich wydawała zdanie. W Londynie, Paryżu i Berlinie przyjęto je z takim zapałem, iż były zmuszone po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt razy swoje przedstawienia powtarzać; przeciwnie zaś w małych miastach, w których sobie wyobrażano, że to są takież same tancerki jak u nas Elsler lub Taglioni, wcale się nie podobały.

W Europie pod nazwą bajaderek rozumiémy powszechnie wszystkie owe indyjskie niewiasty, które przed publicznością tańcem się popisują. Lecz to jest wielkim błędem, pochodzącym od piérwszych Europejczyków, którzy Indyje zwidzali. Wiadomo, iż Portugalczycy byli piérwszymi, którzy nazwę *balladeira* (tanecznica) dawali w ogóle wszystkim żeńskim osobom, które publicznie tańcujące widzieli. Historykom i osobom obeznanym z Indyjami, wiadomo dokładnie, że w owym kraju jest dwie głównych klas tanecznic, czyli bajaderek, które się jedna od drugiéj zupełnie różnią. W piérwszéj, bardzo poważanéj klasie, są dziéwczyny, którym Indyjanie nazwę Dewedaszie (wyraz z samskrytu, złożony z *dewe*, diwa, dziwa, bóstwo, i *daszie*, oddana, a zatém bóstwu poświęcona) nadają. W drugiéj klasie, która jest mniéj poważaną, objęte są tak zwane Nataki, Khaany, Koeteniki i Soetredorie. Sąto publiczne, a częstokroć włóczące się tanecznice, których mieszkańcy indyjscy dla rozrywki podczas swoich uczt używają.

Ani piérwszéj, ani téj drugiéj klasy tancerek nie nazywają Indyjanie bajaderkami, co większa, oni nawet nie znają tego słowa, które jest zupełnie europejskiém i używają zawsze nazwisk, któreśmy powyżéj wymienili. Wielką także różnicę kładą pomiędzy tancérką Dewedaszie, a włóczącą się bajaderką, czyli publiczną tanecznicą, podobnie jak Europejczykowie damę tańczącą na balu, od tanecznicy teatralnéj lub baletniczki rozróżniają. Tancerki Dewedaszie bywają od najpiérwszéj swojéj młodości przez rodziców na usługę pagody poświęcone, i jako należące do wykonywania uroczystych obrzędów religii indyjskiéj, otrzymują troskliwe wychowanie, umieją czytać i pisać. Lud mający nad niemi opiekę, okazuje im poważanie i uzacnia je nawet przydomkiem *begum*, to jest szlachetnéj, indyjskiéj damy. Najważniejszém ich zatrudnieniem jest tańczenie przed obrazem jakiego z bogów indyjskich, bądź wewnątrz pagody, bądź na ulicy, gdy śród procesyi ten obraz niosą.

Sławę o tańcach bajaderek, czyli właściwie mówiąc tanecznic indyjskich, roznieśli najprzód dawni historycy, a po nich Portugalczycy, którzy je niemal przed cztérysta laty widzieli, w czasie, gdy tańce i widowiska w Europie zaledwo istnieć zaczęły, i dla tego nie dziwimy się, że naród ten tak mocno się zachwycił tańcem bajaderek, chociaż tenże z naszém wyobrażeniem o wdzięku i lekkości zupełnie się nie zgadza. Sława ta utrzymała się nawet po dziś dzień, a mianowicie z powodu wielkiéj odległości Europy od Indyj Wschodnich, a podobno jeszcze bardziéj z powodu tańców włóczących się bajaderek, któremi się takowe nigdy publicznie nie popisują, i które tak są nieprzyzwoite, iżby ich żadna dama widzieć nie chciała. Jakoż żaden Europejczyk poważający sam siebie, nie wpadnie na myśl wezwania na publiczne popisy podobnych bajaderek.

Bajaderki, których pod ten raz jest pięć w Wiédniu, są właściwie Dewedaszie, i należą do pagody Tyndiwina-purum, na wybrzeżu Koromandelu. Są one poświęcone na usługę bogu Wisznu, i z tego powodu trzeba było pokonać wielkie trudności, za nim od braminów, kapłanów ich, otrzymano pozwolenie do podróży, którą teraz bajaderki te po Europie odbywają, a która do przyszłego października skończyć się musi.

Tańce ich zowią się święte, ponieważ wszystkie mają symboliczne znaczenie, które się do religii indyjskiéj ściąga, i nieodzownie do uczczenia ich bóstw należy. Są one dla Europejczyka w podwójnym względzie zajmujące, najprzód gdy zważymy, że takowe należą do narodu, który przeszło sześć tysięcy mil od nas jest oddalony, powtóre, że to są najstarożytniejsze tańce w świecie, ponieważ udowodniono, że się takowe od cztérech tysięcy lat nie zmieniły. Wiadomo, że Indyjanie nigdy z swymi zwycięzcami się nie mieszali, że są ze wszystkich narodów najbardziéj nieruchomi, i tym sposobem nie dopuszczając żadnych ani fizycznych, ani moralnych odmian, od pokolenia do pokolenia w pierwiastkowym stanie się zachowują. Co większa nawet ich ubiór nie poniósł żadnéj zmiany, i bez przesady twierdzić można, iż będące pod ten raz w Wiédniu bajaderki, równie jak i towarzyszący im muzycy, takimi są istotnie, jakimiby byli, gdyby przed cztérą tysiącami lat czarodziejską władzą uśpieni, nagle się pomiędzy nami przebudzili. Wszystko to wyświéca dostatecznie owe w wysokim stopniu zajęcie i ciekawość, jaką te bajaderki w całéj swojéj podróży, a mianowicie w znakomitéj i ukształconéj publiczności obudziły, która owéj z wdziękiem połączonéj niedbałości, prostocie i nienwadze, dosyć wydziwić się nie mogła. Gdy piérwszy z ich muzyków święty hymn zanuci, a uniesienie tych młodych dziewic duchem religijnego śpiéwu rozpłonione, do najwyższego stopnia dójdzie, wtedy zaiste ruchowi ramion i wyrazowi twarzy ich do-

syć wydziwić się nie można. Delikatne i na pozór wątłe ich członki zdają się być ze stali; tancerki zdają się przemawiać, a to nie tylko ustami, ale nawet dużémi, czarnémi oczyma, które w takowych chwilach istotnie iskry sypią.

Bawiąc w Europie nie zmieniły ony swojego sposobu życia; mimo ostrość naszego klimatu z równą ścisłością wykonywują przypisane obmywania, jak pod swojém gorącém niebem; jedzą tylko ryż, który w swych własnych naczyniach i podług ścisłych obrządków swéj religii przyprawiają; nie śmią ony nawet dotknąć się przysmaków, któremi je nieraz obdarzano, utrzymując, iż takowe w nieczystych naczyniach i niepoświęconémi rękami są sporządzone. Ciekawość bierze każdego przypatrzyć się zblizka tym istotom, należącym do indyjskiego narodu, tak słynnego nieodmiennością swoich ustaw, które z największą surowością na nieprzystępne kasty go rozdzielają. Z drugiéj strony zaś ten sam naród przez spólną religiję Bramy jest tak ściśło z sobą spojony, i tak mocno do niéj przywiązany, iż pierwsi jego zwycięzcy ani przez zwodnictwo i ponętę, ani przez srogość i okrucieństwa, a nawet przez najstraszliwsze męczarnie, aby jednéj kasty od niego oderwać nie zdołali. Jestto ta sama religija, z powodu któréj Indyjanie jeszcze po dziś dzień, równie jak przed cztérma tysiącami lat, w zbyteczném religijném uniesieniu na najsroższe podają się katusze, najokropniejsze znoszą bole i stają się dobrowolnymi męczennikami. I tak podczas uroczystości ogniowéj wolnym krokiem boso przechadzają się po rozpalonéj, żelaznéj szynie, mającéj 40 stóp długości; podczas innego święta każą sobie niektórzy z nich wbić w grzbiet kończate, żelazne haki, pocém w górę wyciągnieni na drągu, śród najokropniejszych bolów na cześć swoich bóstw pochwalno hymny śpiéwają; drudzy nie biorąc żadnego pokarmu każą się na dni kilka żywcem zagrzebać; inni ślubują trzymać przez lat kilka w górę wyciągnięte ramię, a po spełnieniu ślubu tego, zatrzymują w tém samém położeniu ten zeschnięty członek; co większa, czyliż w naszych czasach, pomimo wszelkich przez rząd angielski wydanych zakazów, nie widzimy ich niewiast wstępujących na stos i palących się wraz z ciałami swych mężów!! Opowiadaniem rzeczy, które zdają się być nie do uwierzenia, a do których fanatyzm wyznawców Bramy, Wisznu i Sziwena, trzech bóstw indyjskich, pobudza, możnaby zapełnić liczne tomy; a przecież co do tolerancyi nie masz łagodniejszego ludu na świecie jak Indyjanie, tak dalece, że oni nie tylko żadnych prozelitów nie robią, ale nawet odstręczają każdego obcego, któryby do ich kasty wstąpić i religiję ich przyjąć sobie życzył. Indyjanie cenią swoje religijne tańce bardzo wysoko, a nasze tańce porównywają z tańcami publicznych swych tanecznic, które u nich w tak małém są poważaniu; toż samo zachodzi z ich barbarzyńską muzyką, którą nierównie nad europejską przenoszą. Tymczasem zaprzeczyć nie można, że tańce bajaderek są wielce uwagi godne, a szczególniéj sposób, jakim takowe wykonywują. Precyzyja w zachowaniu taktu, nadzwyczajna giętkość członków, szybkość poruszeń, jeżli przedmiot tego wymaga, a szczególniéj ta niezachwiana równowaga, która to sprawia, iż przez cały kwadrans na jedném miejscu, jakby wrzeciono z niepojętą szybkością kręcić się mogą, nie doznając przytém zawrotu głowy i nie okazując najmniejszego osłabienia po tak wielkim ruchu. Jestto dowodem siły i sprężytości, która się tak mało zgadza z delikatną budową ich ciała.

Jakoż z powodu tych okoliczności we wszystkich miastach stołecznych Europy, w których bajaderki występowały, przyjmowała je publiczność z najpochlebniejszém zachęceniem, do czego także i to się przyczyniło nie mało, iż młode dziewczyny te potrzebowały w wielkim stopniu odwagi do opuszczenia przynajmniéj na niejaki czas rodzinnéj swéj pagody, czystego nieba, ciepléj strefy i łagodnego, indyjskiego sposobu życia, a to wszystko najszczególniéj z powodu dziecięcéj miłości i przywiązania do swoich krewnych, których okoliczności majątkowe przez tę podróż polepszyć się starają. Przez tę podróż naraziły się one na niebezpieczeństwo być wytrąconemi z swojéj kasty, a zatém na utratę szacunku i przywilejów swoich, co większa, za powrotem swoim nie mogą być pewne, ażali do wzgardzonéj kasty Paryjów wtrąconémi nie będą, któregoto upośledzenia więcéj, niżeli saméj śmierci się lękają. Uwag tych nad bajaderkami i tańcami ich lepiéj zakończyć nie możemy, jak udzielając czytelnikom naszym zdania jednego z najbardziéj poważanych i w zawodzie dziennikarskim najcelniejszego literata w Paryżu.

Literat ten opisawszy bardzo przyjazny zapał publiczności, wyraża się o pierwszém wystąpieniu tych kapłanek w następujących słowach: »Nakoniec podnosi się kortyna! Pięć istot złotéj, jasnéj barwy, pełnych wdzięku i osłoniętych w białe szaty, zbliża się do nas wymierzonym krokiem; i w jednym czasie skłoniwszy aż ku ziemi swe głowy wita nas *salamem*. W tyle tanecznic indyjskich, któremi są te nieodgadnione istoty, pojawia się trzech mężczyzn, zimnych i spokojnych; na czole i na prawém ramieniu jednego widać trzy linije białe; jestto stary Ramalingon na cymbałach grający; drudzy dwaj są jeszcze młodzi; jeden z nich niesie podługowaty bębenek, który końcami palców swoich ożywia; drugi trzyma pewien rodzaj fletu bambusowego, którego posępne tony nieco do tonów kobzy są podobne. Tancerki te stoją przed nami w nieruchoméj postawie, jak gdyby wyrokowi naszemu poddać się chciały. Ubiór ich jest świetny

i oryginalny. Złoty pas, otaczający smukłą kibić, służy także do utrzymania jedwabnych pantalonów indyjskich. Szata nie osłania tak mocno ich piersi, aby pod fałdami białego muszlinu, ich żółtawego i jak aksamit gładkiego ciała widać nie było. Na malutkich, kawowego koloru palcach zaczynają się w tę i owę stronę poruszać, podobne do pięciu na ziemi ustawionych posągów, których twarze jednym duchem są ożywione. Wszystkie mają na swoich głowach złote *sadegpile*. Ramiona ich ozdobione są osobliwszego kształtu bransoletkami i nacieniowane niebieskiemi figurami. Złote obrączki zdobią ich nos i uszy. Czarne włosy ich spływają na ramiona w dwa warkocze, prawie na sposób dziewczyn szwajcarskich. W około czoła wije się złote *mair-oumati*. Na piersi widać ozdobę w kształcie serca, znamię ich stanu. Przejdźmy teraz do samych tańców. Najprzód postrzegamy, iż Soundiroun i Amany wyprawiają dwa różne i zupełnie sobie przeciwne tańce. Twarz dziewicy Soundiroun wyraża coś uderzającego, coś, co jest wyższe nad wszelkie opisanie; ogniste, czarne jéj oczy, które w emalijowém morzu pływać się zdają, strzelają ognistym wzrokiem w około siebie. Przeciwnie zaś Amany jest potulném dziécięciem z nad rzéki Gangezu, wiotka jak liść lotosu. Jest ona smukłą i rosłą jak palma jéj ojczyzny. Uśmiéch jéj jest swobodny i dumający, jak uśmiéch 18letniéj dziewicy. Soundiroun liczy dopiéro lat czternaście. Niziutka Wejdun ma coś dobrodusznego i demonicznego w swéj twarzy. Rangoun zdaje się do Soundiroun być podobną, chociaż jéj nie wyrównywa. Co do czcigodnéj Tilli, wielkiej kapłanki, mistrzyni bajaderek, twierdzić nie można, że jest jeszcze piękną, ale niezawodnie kiedyś nią była; lecz wiek zniszczył wszelką piękność u téj córki indyjskiéj, najmniejszego śladu nie zostawiwszy... Lecz ciszej! Ramalingon uderza w cymbały; Sawaranin gra na flecie! Dejwenajagon końcami palców swoich wydobywa tony z bębenka. Z ust pięciu tancerek i trzech ich towarzyszy snuje się żałosny i dla nas Europejczyków tajemny śpiéw w powietrze. Jestto śpiéw święty, który się z pośród tajemnych pagód indyjskich w nasze eleganckie sale zabłąkał. Jestto hymn na cześć boga Wisznu! Soundiroun i Rangoun wznoszą się nagle, a sprężystemi ich stopy tętni podłoga. Wzrok ich rozpala się, oko w krąg toczy, ramiona roztwiérają się, ciało wygina się z niewymowną miękkością, nawet palce razem z niemi tańczyć się zdają — nie masz ani jednéj żyły, ani muskuły, ani nerwu, któreby w ruchu nie były. Zdaje się, jak gdyby ciała te nagle w płyn się zmieniły, i że niemi wiatr indyjski powiéwa, tak jednostajném, tak ogólném jest poruszenie! Zbliżają się ku nam, znowu wstecz się cofają, znowu przychodzą, jeszcze raz od nas odlatują, aby znowu do nas powrócić; taniec ich wydaje się nam groteskowy, zakochany, drażniący, wzburzający; niekiedy zdaje się, że widzimy przed sobą chińskie figury porcelanowe. Ramalingon, cymbalista, jest w uniesieniu. On pożera swojém okiem każdy ruch bajaderek, uśmiécha się, i takt przyspiesza. Nagle, na dany znak, wszystko ustaje. Głęboki pokłon (*salam*) kończy ten odurzający obraz. Potém następuje *pas de quatre*, któryby prawie z tańcem *bolero*, z *manchegas* hiszpańskim porównać można. Arabowie mieszkali niezawodnie pomiędzy Indyjanami i Iberyjczykami.«

Następujący jest program starożytnych, religijnych (przez dawnych poetów i braminów świętemi tańcy nazwanych) obrzędów, które bajaderki indyjskie, kapłanki pagody Tindiwina-Purum, przedstawiają:

Tardiwel. Ubiéranie się boga Wisznu (wszystko utrzymującego), przez Soundiroun i Rangoun przedstawione. Wyobraża zwyczaj tego boga, gdy w świętéj rzéce Gangezu się umywa i po kąpieli ozdoby swoje na siebie wkłada.

Pozdrowienie Rajah. Czyta się *radsza* i oznacza władzę księcia; przez 7letnią bajaderkę Wejdoun wykonane.

Cztéry sztylety, przez bajaderki Soundiroun i Rangoun przedstawione, wyobrażają bitwę, którą Bóg Rama z bogiem Bahuen-is-puren, w celu wybawienia swojéj małżonki, bogini Sydawewi, stoczył, i jego powrót zwycięzki. Rama podług podań indyjskich panował niemal 1600 lat przed Chrystusem w Adyodhia. Poemat opiéwający sławną jego bitwę, zwany *Ramoyouna*, uważany jest za arcydzieło.

Malapu (różany ogród, girlanda), przez bajaderki Tillę, Amany, Soundiroun i Rangoun wykonany; wyobraża radość pastérzy i pastérek z powodu powrotu wiosny, tudzież ich uczucia i dzięczynienia dla Bunndiwi, bogini rolnictwa, na cześć któréj ta uroczystość jest postanowiona.

Gołąb' i drzewo palmowe, przez Soundiroun i Rangoun, na pamiątkę wielkiego potopu świata i gałązki palmowej, z którą gołąb' jako z rękojmią pokoju pomiędzy Bogiem a ludzmi, do korabia powrócił. Ostatni ten najsławniejszy taniec na tém zależy, iż bajaderka kręcąc się prawie przez cały kwadrans w kółko, trzyma w ręku sztukę muszlinu, mającego 35 stóp długości, z którego palmowe drzewo, a na niém siedzącego gołębia uwija.

Oto jest krótkie opisanie tańców, które przez starożytnych poetów i historyków wysławiane, aż do naszych czasów dotrwały. Mają one niejakie podobieństwo z tańcami, które niegdy Izrael przed arką Pańską wyprawiał. Dla znawcy i miłośnika historyi tańce te są bardzo zajmujące. Zjawienie ich odsłania nam wieki, przed tysiącami lat upłynione, widzimy w nich pierwiastki Terpsychory, w prostéj, naturalnéj postaci. Z podziwieniem nasuwają się porównania, a lubo przyzwyczajenie nasze nowszym tańcom pierwszeństwo przyznaje, jednakże tańce bajaderek są wieczne, nieodmienne kolosy, z których nasze teraźniejsze wytworne i wymysłowe powaby okwite, powstały.

ZE LWOWA.

Zeszyt piérwszy kilkakrotnie wspominanego przez nas, przez Adama Jochera, nakładem Józefa Zawadzkiego w Wilnie wydawanego dzieła: *Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w Polszcze*, jest właśnie w księgarniach naszych do nabycia, i zalecamy go miłośnikom polskiej literatury, mianowicie każdemu, kto jakikolwiek ma zbiór książek polskich.

Lwowianina zeszyt III. opuścił prasę ostatnich dni miesiąca sierpnia. Dowiadujemy się, że p. Kraszewski został współpracownikiem pisma tego, i już doń artykuł jeden przysłał.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Nr. 35. i obejmuje: 1) Co i dla czego dzieje się w naturze (ciąg dalszy). 2) Przeciw ułatwiającemu sposobowi zbioru koniczyny dla Podolanów. 3) O stokłosie. 4) *Madia sativa.* 5) O wydatkach wódki. 6) O wpływie paszy na ilość i jakość mléka od krów. 7) Sposób żeby przędza w osnowie się nie rwała. 8) Kit prosty do porcelanowych i śklannych naczyń. 9) Kit wodny i kit twardy jak żelazo. 10) Polowanie na skowronki. 11) Koń drewniany. 12) Studnia artezyjska.

Wszystkie prawie pisma polskie ogłosiły i przyjmują prenumeratę na poemat litewski J. J. Kraszewskiego: *Witolu-rauda*, którego druk ma się rozpocząć w Wilnie w styczniu r. 1840.

W Warszawie biblioteka dla młodych osób nowém dziełkiem pomnożoną została, pod nazwą: *Powieści starego wędrowca.*

Gwiazdy kolorowe. Światło gwiazd nie jest bynajmniej jednostajne, i tak np: promień Syryjusza różni się nie tylko co do siły, ale nawet co do gatunku od promienia gwiazdy Vegas, a w krajach, w których atmosfera nie jest tak wilgotna i posępna jak u nas, już nawet gołém okiem różnicę tę poznać można, ponieważ jedna gwiazda jak smaragd, a druga jak rubin błyszczy, iż całe niebo jak gdyby klejnotami kameryzowaném być się wydaje. Tą właściwoscią rozmaitych kolorów odznaczają się także gwiazdy podwójne; atoli rzecz uwagi godna jest ta, iż w niektórych miejscach jedna gwiazda ma przeciwną barwę drugiéj gwiazdy. I tak częstokroć widać w kupie gwiazdę czerwoną i zieloną, albotež żółtą i niebieską. Jeżeli gwiazdy mają różny stopień światła, natenczas różnica ta od optycznéj złudy pochodzić może, ale przypadek ten nie wszędzie zachodzi, ponieważ wiele gwiazd podwójnych w okolicznościach zupełnie podobnych takowéj różnicy bynajmniej nie okazują. Sir John Herschel przypisywał z początku zjawienie to istotnéj różnicy kolorów, a chociaż zapewne z ważnych powodów odstąpił od tego zdania, mamy jednak w téj mierze potwierdzające świadectwo Struwego, oparte na postrzeżeniach dalowidem dorpackim, który jeszcze dotychczas nie ma sobie równego. »Łatwiéj opisać,« mówi Herschel, »niż sobie wyobrazić, jak rozmaite światło dwie gwiazdy, z których jedna czerwona a druga zielona, albotež jedna żółta a druga niebieska, rzucać muszą na planetę, który w około jednéj z nich krąży, i jak przyjemna sporność i odmiana np: przez czerwony i zielony dzień na przemiany z dniem białym i ciemnością powstaje.«

Nałóg używania opium w Chinach. Jak szkodliwém jest używanie opium, wydała w téj mierze pewna chińska dama w Kantonie postrzeženie, pod nazwą: *Sin-pen-kiah yung-yin*, następującéj treści: »Czas teraźniejszy jest od dawnych czasów zupełnie różny. Zkądżeto pochodzi, że zwyczaj palenia opium teraz tak bardzo się rozszerza? Nieszczęście to wkradło się przez cudzoziemców do środka naszego kraju i już kilka tysięcy naszych ziomków zniszczyło. Kochany małżonku! ty, który dotychczas zawsze byłeś trzeźwym i czynnym, dla czegoż teraz dajesz się w te zwodnicze sidła ułowić? Wiém z pewnością, iż niektórzy ci rzekną, że opium jest w modzie, i że go potajemnie w wesołem towarzystwie używać można. Lecz drudzy powiedzą ci, że opium jest z arszeniku i zwierzęcych exkrementów złożoną trucizną. Jest ono niezawodnie trucizną, lecz ponieważ się takowe z dalekiéj części świata sporządza, przeto mi niewiadome są części, z których się składa. Ale to mi bardzo dobrze wiadomo, że kosztuje wiele pieniędzy i ciało niszczy. Dla opium roztrwoniło wielu znaczny majątek i tak zeszpeciło twarz swoję, iż teraz jak straszydła wyglądają. Tacy ludzie ledwie się na nogach utrzymać mogą i daremnie od nich spodziewają się ich familije wsparcia i obrony. Drogi małżonku! Ojciec i matka pokładają w tobie całą swoję nadzieję! Jeżeli już nie możesz wstrzymać się od używania téj trucizny, starajże się przynajmniej, ażebyś jéj miernie używał. Ale gdybyś mógł zupełnie się pozbyć tego nałogu, zawierz, iż żona twoja, chętnie przyniosłaby ci swoje życie w ofierze.«

Skarb dawnych królów francuzkich. Prawie niepodobieństwem jest zamknąć w krótkiém opisaniu bogactwo i wartość tego zbioru. Cała ilość dyjamentów wynosiła 9547 sztuk pojedynczych, a zatém o 3576 sztuk więcéj, niż w r. 1774, podczas wstąpienia na tron Ludwika XVI. Dodano do tego powiększéj części małe dyjamenty, których do guzików i do miecza królewskiego użyto. Lecz zato nie stawało kilku dużych dyjamentów, które w r. 1774 jeszcze się znajdowały, przeto wartość dyjamentach w r. 1791 wynosiła o 127,906 liwrów mniej, niźli w r. 1774, chociaż ilość pierwszych w dwójnasób większą była. Jednakże wartość zbywającą w samych dyjamentów wynagrodziła oprawa. Pereł należących do korony było 513 sztuk, z tych 480 nieoprawnych, a 23 było w niektórych klejnotach należących do dyjademu królowéj. Rubinów było 230, z tych 145 nieoprawnych, a 85 zdobiło wstęgę naramienną, złote runo i orderowy krzyż króla. Smaragdów 150, z tych tylko 17 oprawionych w łańcuszek od królewskiego zegarka; następnie 134 safirów, 3 oryjentalne ametysty i 8 granatów syryjskich. Pomiędzy dyjamentami, był jeden, tak zwany *Regent*, ważący 146 karatów, i na 12 milionów liwrów szacowany. Niektóre inne dyjamenty warte były jeden, dwa i trzykroć sto tysięcy liwr. Cena wszystkich dyjamentów wynosiła 16,730,400 liwrów. Najpiękniejszą perłę szacowano na 200,000, a najpośledniejszą na 300 liwrów. Cena ogólna pereł wynosiła 996,700 liwrów. Najpiękniejszy rubin wart był 50,000, a najpośledniejszy 50 liwrów; najpiękniejszy topaz 6,000, a najpośledniejszy 150 liwrów; najpiękniejszy smaragd 6000, a najpośledniejszy 150 liwrów; najpiękniejszy safir 100,000, drugi 6000, trzeci 3000, a najpośledniejszy 120 liwrów; najpiękniejszy ametyst 6000, a najpośledniejszy 200 liwrów. Ogółowa cena klejnotów kolorowych wynosiła 360,604 liwrów. Prócz dyjamentów nadmienionych było jeszcze kilka do królewskiego stroju użytych, które na 5,834,490 liwrów ceniono. Razem wzięta wartość wszystkich dyjamentów, pereł, kolorowych klejnotów, prócz dyjamentów należących do królewskiego stroju, wynosiła 23,992,197 liwrów.

Powolność wielbłąda. W Azyi zobaczysz całe karawany przeciągających wielbłądów; w każdéj karawanie jest ich około czterdzieści pięć sztuk, które zawsze człowiek siedzący na ośle za sobą prowadzi. Do pierwszego wielbłąda upięty jest drugi lekkim sznurem i tak daléj aż do ostatniego, przyczém porządek i powolność, jakie te zwierzęta w swoim pochodzie zachowują, są wielce uwagi godne. Jeżeli pora roku jest parną, idą karawany podczas nocy i zatrzymują się o godzinie dziesiątéj zrana. Wtedy staranie o wielbłądach porucza się małym dzieciom. Skoro dziecię zdejmie sznur z głowy pierwszego wielbłąda, wtedy gęgoce on z radości i przed niém uklęka, a dzieci, które zaledwo grzbietu jego dosięgnąć mogą, rozwiązawszy bale z bawełną, które z obu stron wiszą, uwalniają go w ten sposób od ciężaru. Drugie dziecię przynosi mu w naczyniu wody i wymywa mu gąbką pysk i nozdrza, zaco mu wielbłąd jeszcze głośniejszém gęgotaniem dziękuje; gdy się to stanie, co dla tych zwierząt zdaje się być bardzo przyjemném, idą wielbłądy w czasie dziennych upałów w gęstwę lasu na paszę. Nie trzeba na nie ani krzyczeć, ani je chłostać. Wielbłądy napasłszy się kładą się w koło na kolana, spoczywając w niejakiém oddaleniu od miejsc w którém towary przez dzień leżą. O godzinie trzeciéj po południu za danym znakiem przewodnika, przychodzi każdy wielbłąd do swojego ładunku, uklęka między dwiema balami, które znowu zwiążnją dzieci do kupy i w kilku chwilach puszcza się karawana w dalszą podróż. Zwierzęta te są niezmiernie przywiązane do dzieci, których częstokroć troje, albo czworo na ich grzbiecie igra, i nie raz zdarza się, iż wielbłądy kładą swoje głowy pomiędzy dzieci śpiące w namiocie, podczas kiedy ich olbrzymie ciała przed namiotem spoczywają.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*